N° 19.

Bióro Redakcji przy ulicy Solnej Nr. 715, w Warszawie.

Prenumeratorowie stali **Opiekuna Domowego**, — nadsyłający prenumeratę wprost do Redakcji, otrzymują w dodatku **Czytelnię Domową**, zawierającą w sobie wybór powieści, romansów, dramatów i tym podobnych dzieł treści belletrystycznej.

OPIEKUN DOMOWY

Warszawa, dnia 28 Kwietnia / 10 Maja 1871 roku

ROK VII.

Serja Druga.

Cena: w Warszawie 25 kop. miesięcznie — na Prowincji: rs. 1 kop. 20 kwartalnie (w tém mieści się już opłata pocztowa: za przesyłkę kop. 11¼, oraz za opakowanie i ekspedycję kop 33¾). **Skład główny** dla pp. Księgarzy *w Warszawie*, w księgarni Ferdynanda **H**ösicka, Ulica Senatorska Nr. 496, w *Poznaniu* u **Leitgebera**, — *we Lwowie* u **Wilda K**arola, *w Żytomierzu u* **Budkiewicza** księgarza.

PANI GEORGE SAND.

(Jerzy Zand).

OBRAZEK.

Komuż z czytelników *Opiekuna* nie jest znane imię téj znakomitéj autorki francuzkiéj? Znają je prawie wszyscy, nawet i ci, którzy jéj dzieł nie czytali, a znają po większéj części fałszywie, na wiarę tuzinkowych autorytetów, znają jako istotę ekscentryczną, antagonistkę uświęconych chrystyanizmem zasad społecznych, twórczynię fantastycznych teoryj, zajmującą się wyłącznie rehabilitacyą tego rodzaju, do którego sama należy, to jest, poświęcającą wszystkie siły wielkiego swego talentu na radykalne przeobrażenie tych stosunków, praw i obowiązków, które rodzaj żeński w odwiecznéj od rodzaju męzkiego zależności utrzymują. Niektórzy nawet z powodu przybranego przez nią pseudonymu męzkiego, zaliczają ją do dziwotworów. Samo to imię *George-Sand* zgrozą przejmuje każdą naszą dewotkę. Wszystkie jéj płody literackie mają być stekiem trującéj demoralizacyi, a ona sama uchodzi za jakieś monstrum kobiece, od którego, jak od złego ducha, rodzice dzieciom, mężowie żonom, a bracia siostrom swoim, odżegnywać się każą. Aby więc sprostować taką opinję, niech czytelnicy *Opiekuna* odważą się śmiało, bez uprzedzenia spojrzeć na Panią Sand. Przedstawię ją w tym obrazku w prawdziwém świetle, przedstawię taką, jaką jest rzeczywiście, opierając się na sumiennéj relacyi ludzi poważnych, którzy ją w jéj powszedniém, domowém życiu wszechstronnie poznać i ocenić mogli.



George Sand.

I.

Macie oto przed sobą kobietę wzrostu miernego i niezłéj tuszy, ale bynajmniéj nie otyłą, z głową cokolwiek większą od téj, jakaby do jéj szerokich ramion artystycznie przypadać mogła, z wyrazem w obliczu cechującym indywidualność wiecznie myślącą, ale razem umiejącą ukrywać swoje myśli szczerem uczestnictwem w towarzyskich zabawach. Duże jéj oczy tak są czarne i bez najmniejszego odblasku w źrenicy, że najbieglejszy fizyonomista próżnoby w nich coś wyczytać usiłował. Usta ma bardzo pospolite. Cera jéj twarzy koloru staréj słoniowéj kości, znamionować zdaje się jakiś organiczny defekt wewnętrzny. A co się tycze rąk, te u niéj tak są maluczkie, że mimowolnie przychodzą na myśl słowa, któremi jedna dama zawstydziła swego adoratora, unoszącego się nad pięknością drobnych jéj rączek. „Dziwak pan jesteś, kiedy się zachwycasz tém, co nie ozdabia, ale szpeci kobietę." Pani George Sand ręce ma takie, jak ośmioletnie dziecko. Fabrykanci rękawiczek nie przypuszczają takich fenomenalności w dojrzałéj kobiecie i dla tego autorka *Mouprat'a* rękawiczki zawsze ma zanadto długie.

Nie ma też kobiety na świecie, któraby tak się troszczyła o swoję powierzchowność, jak pani Sand. Ochędóztwo posuwa ona do ostateczności, i to na każdém miejscu i w każdym czasie. Chociażby sto mil przejechała, czy to w wagonie, czy

w szarabanie, niezdołacie dopatrzeć najmniejszego nieładu w jéj ubiorze, nie znajdziecie żadnéj plamki na jéj burnusie, ani pyłku na obuwiu. W ubiorze swoim nie stosuje się do żadnéj nowoczesnéj mody, a ma osobliwszą predylekcyą do jaskrawych, bijących w oczy kolorów.

Najwybitniejszą cechą w charakterze p. George Sand, jest jéj dziecinna, granicząca prawie z nieprzytomnością, wstydliwość. Niektórzy ją uważają za zimną egoistkę, za kobietę ambitną i wielce zarozumiałą, wtenczas, kiedy ona jest tylko nadzwyczajnie wstydliwą. Jeżeli jéj się zdarzy obrazić w czémkolwiek tę wstydliwość, przy obcych osobach, wtedy już zupełnie traci głowę. Razu jednego, w czasie wycieczki swojéj do Tulonu, zamierzyła zwiedzić okręt wojenny. Kapitan tego okrętu wcześnie o tém zawiadomiony, postarał się wystąpić ze swoją załogą jak najparadniéj. Oczyszczono zaraz okręt z brudu i pyłu, przyozdobiono go najwytworniéj wewnątrz i zewnątrz, oficerowie wdziali nowe mundury, a kiedy znakomita autorka po usłanych kwiatami schodach wstępowała na okręt, to cała komenda według rang swoich była uszykowaną w półkole tak, że najmłodszemu, dwunastoletniemu chłopcu, wypadło stać wprost, naprzeciw kapitana. Otóż uroczystość tego przyjęcia tak fatalny wpływ wywarła na umysł pani Sand, że straciła całkiem przytomność, bo zbliżyła się naprzód do kapitana i trzepiąc go rączką swoją po twarzy, życzyła mu świetnéj karyery, a potém zwróciwszy się z ceremonijalnym ukłonem do młodego chłopca, powiedziała mu kilka grzeczności, chwaląc piękność jego okrętu i wzorowy na nim porządek. Łatwo domyśli się każdy, że *qui pro quo* dostarczyło wątku do licznych żartów i przekąsów.

Taka wstydliwa nieśmiałość w obec nieznajomych osób, skłania ją do poprzestawania na życiu ustronném, w towarzystwie kilku dobrych przyjaciół-artystów, którzy też fanatyczną dla niéj czcią przejęci, nie obrażają się bynajmniéj, gdy ich nazywają *Zandystami*.

Mówiąc o dziwactwach téj genialnéj kobiety, nadmienić wypada, że poznawszy ją zbliska dostrzedz w niéj można dwie zupełnie sprzeczne indywidualności. Jako autorka, mająca do czynienia z publicznością, jest ona dla wszystkich obojętną, skrytą, w rozmowie nader lakoniczną i tylko do słuchania skłonną; przeciwnie, w domowém swojém kółku, jako osoba prywatna, jest to kobieta wesoła, lubiąca pożartować, chętnie nawet zajmująca się fraszkami, ale w rozmowie o miłości bardzo a bardzo skrupulatna. Największa to dla niéj przykrość, jeżeli kto w jéj obecności odezwie się z jakim erotycznym dwuznacznikiem; ale gotowa jest znowu śmiać się z całego serca, gdy usłyszy jakąś, chociaż niezgrabną, ale przyzwoitą farsę.

Chcąc skreślić charakter pani Sand w kilku słowach, wypada powiedzieć, że jest to kobieta prostoduszna i rzadkiéj dobroci serca, chociaż we względzie literackim ma swoje szczególne pretensye. Jest ona spirytualistką w całém znaczeniu tego słowa, gotowa uwierzyć w każdą choćby najdziwaczniejszą metempsykozę, w tém przekonaniu, że dusza jéj i za grobem przechowa w zupełności wszystkie ziemskie pamiątki i sympatye. Zdarzyło się przed kilku laty, że był u niéj z wizytą jakiś naturalista ugrzęzły w sceptyzmie; wtedy ona wzruszona do głębi, zbijając z najżywszym zapałem wszystkie jego sofistyczne twierdzenia, wypowiedziała nader szczytną myśl, która odtąd mniéj więcéj w każdym jéj przebija się utworze.

„Twój ateizm, zawołała, tylko pod względem korzyści przedstawia nam naturę, wątpię jednak bardzo, aby on był zdolnym wznieść się kiedykolwiek do ocenienia jéj pod względem piękności.“

Weszło to u niéj niejako w nałóg, że rozmawiając z kimkolwiek, traktuje go zaimkiem *ty*, sama wszakże nie lubi żeby z nią obchodzono się poufale. Zresztą, uszanowanie, jakie zdobyć sobie potrafiła, tak jest powszechne, że nawet gardzący wszelką etykietą *Nadard* przemawia do niéj nieinaczéj, jak w liczbie mnogiéj *wy*. Sławny ten aeronauta uwielbia w niéj nietylko wysoki talent pisarski, ale i to co anielską istotę odznacza, jéj nieporównanéj dobroci serce. Pewnego poranku p. Sand przyszedłszy do jego pracowni, zastała go w wielkim pogrążonego smutku. Częstokroć człowiek unoszący się myślą w górne sfery, bywa dotknięty powszednią troską ziemską; w takim razie chociażby polotem swoim sięgał siódmego nieba, musi spuścić się na ten padół, dla spełnienia koniecznych, nieodzownych swoich obowiązków, które pomimo swojéj drobiazgowości zawsze są cięższe od powietrza,—musi niestety opamiętać się, że jest na ziemi, gdzie są motory straszniejsze od najsilniejszych huraganów. W takich fatalnych chwilach zwykle Nadard przeklinał świat cały, bo mu żal było jego przecudnych napowietrznych zamków.

(*d. c. n.*)

CO MÓWI PORANEK?

Jutrzenka dąbrowie
Pobudkę gra...
Ze strugi w parowie,
Wysuwa się mgła;
Na niebie ze stali
Wschód krwawo się pali,
I słychać szum fali,
Co w trzcinach łka.

Za trzodą pacholę
Wybiega w bór,
Źrenice sokole
Podnosi do chmur;
Choć patrzy, choć słucha,
W umyśle noc głucha,
Bo mroczy mu ducha
Dziecięctwa mur...

Pod strzechą, pacierze
Odmawia dziad,
I chęć go nie bierze,
Wyfrunąć na świat;
Na blaski i ciepło,
Czucie w nim zakrzepło,
I myśl ma oślepłą,
Od mroku lat...

Jutrzenka rozplata
Różowy włos,
Skowronek już wzlata,
I złoci się kłos...
Więc jakże?—nikt w tłumie
Odgadnąć nie umie,
Co mówi w drzew szumie
Świtania głos?

Po liściach i fali,
Ach! przemknął dreszcz...
Zaśpiewał ktoś w dali
I dźwięków spadł deszcz;
Ocknęły się kwiaty,
Dym wybiegł nad chaty,
I piosnkę, skrzydlaty
Snuć począł wieszcz.

Ku grządkom, gdzie rośnie
Dziewczyna-kwiat,
Po cichu, miłośnie
Młodzieniec się skradł;
Z alkowy firanek
Wabił ją na ganek...
Co mówi poranek—
On jeden zgadł.

Wiktor Gomulicki

KANDYA I KANDYOCI.

(*Dalszy ciąg*).

System zarządu wprowadzony przez Mustafę trwał po nim ciągle i wywoływał niezadowolenie, które się objawiło powstaniami 1858 i 1866 roku, dlatego słusznem będzie rozpatrzeć się tu bliżéj w tym systemie.

Jednym z pierwszych powodów ciągłych skarg greków-kandyotów był zakaz noszenia i używania broni. Za rządów Husni-Paszy, jednego z następców Mustafy, zakaz ten był tak ściśle przestrzeganym, że przy wejściu do miasta Kanei odbierano chrześcijanom nawet małych rozmiarów noże, służące do codziennego użytku, gdy tymczasem Turkom służył przywiléj chodzenia zbrojno, według

własnego upodobania. Przy fanatycznéj nienawiści jednych do drugich, często przychodziło do zajść krwawych, w których bezbronni, naturalnie, padać musieli ofiarą.

System podatkowy jest niemniéj ważnem, może nawet ważniejszém jeszcze źródłem niezadowolenia Kandyotów.

Od niepamiętnych czasów płacili oni do skarbu ottomańskiego pogłówne, czyli tak zwany haracz. Oprócz tego pobierano od nich w naturze dziesięcinę od płodów ziemi. Porównywając te podatki z ciężarami, jakie ponosić muszą mieszkańcy innych prowincyj państwa tureckiego, wydadzą się one wprawdzie bardzo małymi, lecz za bliższém wejrzeniem w rzecz przekonywamy się łatwo, iż sposób rozkładu i poboru obu tych podatków w Kandyi jest taki, że nietylko Kandyotom daje ciągły i słuszny powód niezadowolenia, ale nadto skarbowi tureckiemu przynosi mniéj daleko, niż przy regularnym i słusznym rozkładzie i poborze mógłby przynosić.

Gubernatorowie, którzy nastąpili po Mustafie-Paszy, nie pomyśleli nawet o zaradzeniu złemu. Według prawa wszyscy od lat 15 do 70 są obowiązani do płacenia podatku, lecz zdarzało się że wioski i gminy, które sobie umiały zjednać względy jakiéj wpływowéj osoby w otoczeniu paszy, doznawały za jéj protekcyą niemałéj ulgi, która podwojonym ciężarem spadała na inne gminy. Tym łatwiéj do tych nadużyć przychodzić może, że zarząd gubernatora oznacza tylko summę jaką ma zapłacić cała gmina, a dopiero rozkład téj summy na pojedyncze indywidua pozostawia się saméj gminie. Najczęściéj się zdarza, że najbiedniejsi i najsłabsi najbardziéj są uciśnięci, a skarga ich nigdy nie dochodzi do uszu paszy.

Naturalnie, że w razie nieuiszczenia nałożonéj często niesprawiedliwie kwoty, następuje egzekucya barbarzyńska, połączona z wszelkiego rodzaju nadużyciami. Za czasów Husni-Paszy, wojska nocą wchodziły do wsi, kwaterowały się przemocą w domach mieszkańców, zabierały ich ruchomości i najznaczniejszych z pomiędzy nich, traktując bez litości, zabierały do aresztu.

W takim stanie rzeczy nic dziwnego iż w pojedynczych wypadkach Kandyoci dotrwać nie mogli w czystości swych przekonań, i niejedna jednostka, niejedna miejscowość, sposobem mniéj godziwym starała się zapewnić sobie łagodniejsze traktowanie u barbarzyńców. Byli tacy co przyjmowali Islam, pragnąc z klassy opanowanéj przejść do panującéj; inni znów widząc, że naprzykład Husni-Pasza w czasie swego zarządu okazywał się łagodniejszym względem gmin zostających pod opieką katolickich misyonarzy, nie z przekonania lecz z interesu porzucali wiarę swych ojców, kościół wschodni i przechodzili na katolicyzm.

Podatek w naturze, zwany dziesięciną, wynosił za czasów, kiedy Kandya należała do wice-króla Egiptu, nie dziesiątą lecz *siódmą* część płodów rolniczych. Tym sposobem jeżeli rolnik otrzymywał naprzykład 100 miar oliwy, to skarb dostawał $14^1/_3$ jako siódmą część tych stu miar, i osad mający wartości 50 miar.

Ten niesłychanie wysoki pobór zmniejszonym został dopiero w r. 1841, gdy Kandya przeszła nanowo pod panowanie Porty. Wówczas ustanowiono rzeczywistą dziesięcinę i zniesiono dodatkowy pobór osadu.

Pobór dziesięciny z początku powierzanym był poborcom mianowanym przez rząd. System ten przecież nie trwał długo. Mustafa-Pasza wyjednał dla siebie u Porty, że mu oddano w dzierżawę wszystkie podatki i dochody z Kandyi, nie wyłączając dochodów celnych. Następnie wydzierżawiał je od siebie więcéj dającemu, i udzielał swoim poddzierżawcom wszelkiéj możliwéj pomocy.

Łatwo jest pojąć jakie nadużycia i jaki ucisk podobne postępowanie wywołać musiało. Temu postępowaniu Mustafa-Pasza głównie zawdzięcza swój ogromny majątek.

Późniéj Porta rozkazała Mustafie i jego następcom pobierać dziesięcinę bezpośrednio na rachunek skarbu; ponieważ jednak i przy tym poborze taż sama manipulacya zachowaną została, nieporządek przeto i demoralizacya dotrwały aż do naszych czasów i do straszliwego nawet doszły stopnia.

Zarząd turecki głuchym był i jest na wszelkie skargi, jakie te krzyczące nadużycia wywołują i nie zważa na to jak zabójczo podobny ucisk oddziaływać musi na wszelką produkcyą, lecz tego tylko pilnuje, żeby mieszkańcy na oznaczony termin wnosili do skarbu pieniądze.

Po tym krótkim przeglądzie systemu podatkowego, istniejącego na wyspie Kandyi, rzućmy teraz okiem na administracyą i sądownictwo.

Oprócz jeneralnego gubernatora mieszkającego w Kanei, znajdują się w témże mieście, oraz w Rettimo i w Kandyi (nazwisko greckie miasta Kandyi jest Heraklion) kajmakanowie, którzy będąc mianowanymi wprost przez Portę, zostają jednak pod zwierzchnią władzą jenerał-gubernatora. Jenerał-gubernator jest nieograniczonym władcą pod względem administracyjnym. W nim koncentruje się wszelka władza, on rozstrzyga w każdéj prywatnéj lub publicznéj sprawie między ludnością. Od kajmakanów jedyna appelacya jest do niego, i ztąd pochodzi, że odbiera dziennie w przecięciu od 120 do 150 próśb; w najmniejszéj bowiem sprawie, choćby o zwrot skradzionéj kury, na drugim końcu wyspy mieszkający kandyota do niego odwoływać się musi. Policya miast i wiosek, akcyza, zarząd dróg i budowli, municypalność, wszystko, jednem słowem, leży w zakresie jego kompetencyi i bez wyraźnego jego rozkazu nic ważniejszego we wszystkich tych gałęziach zarządu zrobioném być nie może. Pasza ma prawo bez śledztwa i wyroku każdego uwięzić, wygnać albo skazać na karę i nikt się nie może oprzeć wykonaniu jego woli. Niedawno jeszcze służyło paszy prawo wyrzekania nawet kary śmierci, bez zawiadomienia o tém Konstantynopola. Prawo łaski pasza posiada również w całéj rozciągłości: może winnych uwalniać albo ich karę łagodzić. Więcéj lub mniéj godne i sprawiedliwe wykonywanie téj niezmiernéj władzy, zależy więc wyłącznie od indywidualnych przymiotów tego, komu ona jest powierzoną, oraz od stopnia jego ukształcenia i uprzedzeń przeciw chrześcijanom. Los mieszkańców Kandyi skutkiem tego podlega ciągłym odmianom na lepsze lub gorsze, stosownie do charakteru i sposobu postępowania każdego z tych wielkorządców.

Pasza ma prawo przewodniczyć posiedzeniom sądowym, ilekroć mu się spodoba, rzadko jednak zajmuje to miejsce, w celu dokładnego zbadania i rozstrzygnięcia jakiéj sprawy, lecz prawie zawsze dla tego, aby pośrednio lub bezpośrednio wpłynąć na wolę kollegium sądowego.

Pasza może urzędników publicznych od pierwszego do ostatniego mianować lub składać z urzędu; nawet kajmakanów Porta mianuje za jego zgodą; sądy zaś nie mają prawa przyjmować żadnéj sprawy, dopóki skarżący nie wytoczy skargi przed paszą, a ten przy prowadzeniu śledztwa nie poleci oddać jéj na drogę sądową, jeśli to za stosowne uzna.

Mudirowie, mianowani wprost przez paszę, i mający pod sobą pewną liczbę nieregularnych żołnierzy, pełnią służbę policyjną na wyspie i gdy tego potrzeba wymaga, dają pomoc do zbierania podatków. Ci urzędnicy, pozbawieni wszelkiéj moralności, przełożeni nad bandami niekarnego żołdactwa, dopuszczają się niejednokrotnie krzyczących niesprawiedliwości i barbarzyństwa.

Ograniczamy się tutaj na ogólném i sumaryczném przedstawieniu natury władzy, jaką reprezentanci wysokiéj Porty w Kandyi są obleczeni. Władza ta jest bezwątpienia taką samą jak w innych prowincyach panstwa tureckiego, na Kandyi jednak, z powodu politycznego i jeograficznego położenia téj wyspy, oraz ze względu na historyą i charakter jéj mieszkańców, wady i słabe strony téj władzy stają się jeszcze wydatniejszemi i opłakańszemi niż gdzieindziéj.

Organizacya sądownictwa niemniejszym jest powodem niezadowolenia. Sądy mięszane, tak zwane *medżlis*, złożone z Turków i chrześcijan, i przez dziwny zamęt w pojęciach prawodawczych mające oprócz władzy sądowéj niektóre kompetencye administracyjne, zostały zaprowadzone w Kandyi za czasów egipskiego panowania na téj wyspie. Mustafa-Pasza, obejmując zarząd wyspy, odmówił formalnie gdy mu rząd egipski zalecił, aby przy tworzeniu rad prowincyonalnych i miejskich zaprowadzonym został system wolnego wyboru,—i mianować zaczął wprost od siebie tak tureckich jak chrześcijańskich członków tych zebrań. Turków, których do wejścia w ich skład powoływał, wybierał głównie między ludźmi odznaczającymi się wpływem, stanowiskiem, fanatyzmem i zręcznością; z chrześcijan zaś mianował tylko takich, których zasady, moralność, sposób myślenia, charakter i stanowisko, największe dla rządu przedstawiały gwarancye. Jeżeli przypadkiem któremu z tych przedstawicieli chrześcijan przyszła ochota brać na serio obowiązki członka medżlisu, zastępowano go wkrótce innym, który się mniéj nieprzystępnym okazywał. Gdyby nawet nie to, każdy z członków takiego sądu mógł się prędko przekonać, że najniezachwiańsza prawość i czystość zamiarów jego na nic się nie przyda; jednogłośna bowiem wola jego tureckich kolegów przekonać go musiała, a w razie potrzeby dostatecznym był do tego głos mollaha, duchownego mahometańskiego, który jest stałym członkiem każdego sądu, i ma obowiązek pilnować aby decyzye sądowe nie sprzeciwiały się przepisom Koranu.

(*dok. nast.*)

Kościół farny, N. M. Panny, czyli Maryacki,

w KRAKOWIE.

Mało jest u nas świątyń Pańskich któreby takie na człowieku sprawiały wrażenie, jak kościół Maryacki w Krakowie, którego widok podajemy czytelnikom w dzisiejszym Numerze naszego pisma. W nim przejmuje cię odrazu i prawdziwa pobożność i pokora i uszanowanie dla tego przybytku świętości. W nim, zdumiony wielkością i pięknością jego, otoczony arcydziełami sztuki, owiany jakąś atmosferą wyższą, niebiańską, swojską, zginasz mimo wiedzy kolana, składasz ręce—i cicho—cicho—niby szept liści wiosennych, niby szmer strumyka w gaju, podnosisz pierś i oczy obrylantowane łzą uniesienia ku górze, ku ołtarzowi — z słowami zachwytu. Już samo to nazwisko: *Kościół Maryacki*, *wieża Maryacka*, napawa cię jakąś niewysłowioną dumą i pociechą, prawie tém samém, czém wspomnienie ojca i matki.

Przypatrzmy się cokolwiek dziejom téj świątyni.

Początek jéj założenia sięga XIII-go wieku, a jak się okazuje z przywileju erekcyjnego, biskup Iwo Odrowąż w r. 1226 farę Krakowską od ś. Trójcy tutaj przeniósł. Wszystkie dawne opisy Krakowa wymieniają także Iwona Odrowąża jako jéj założyciela. Pomimo tego, dopiero Mikołaj Wierzynek, słynny podskarbi króla Kazimierza W. miał tę budowę doprowadzić do końca. W każdym razie, datę ukończenia jéj należy i możemy przyjąć w końcu XIV lub na początku XV wieku. Jest więc pomnikiem schyłku stylu ostrołukowego w XV stuleciu. Lekkość form, strzelistość świątyni ku górze i bogate oświetlenie wielością, aż ku samemu prawie dołowi schodzących, okien, stawia ją w rzędzie najpiękniejszych zabytków naszych swojskich ceglanych budowli, a to nad innemi daje jéj pierwszeństwo, że zachowała ozdoby w kamieniu rzeźbione, których albo mało mieliśmy w średnich wiekach, albo je bliższe nam czasy zniszczyły. Długość świątyni wynosi stóp polskich 236, szerokość 106 stóp. Wysokość do szczytu sklepienia stóp 88, a 133 po szczyt dachu. Wieża wyższa, zwana miejską lub maryacką, ma wysokości 246 stóp wiedeńskich, a zatém wyższa jest nieco od norymbergskiéj ś. Sebalda, a prawie równa paryzkiéj na kościele Notre-Dame. Tém się zaś od nich różni, że tamte po największéj części kamiennymi filgranami piramidalnie samym tylko cienkim szczytem w górę strzelają, a nasza aż do wysokości 180 stóp, z saméj wznosi się cegły. Obie wieże, wyższa i niższa, stanowiące frontową facyatę kościoła, składają się z podstaw czworobocznych. Niższa nie zmienia wcale kształtu swego aż do wierzchu, bo już tam nakryto ją hełmowym szczytém, gdzie wyższa dopiero z czworokąta w ośmiobok przechodzi, a wreszcie z szesnastokątnéj drewnianej pokrywy wystrzela jéj szczyt koroną zwieńczony, a szesnastu niższemi otoczony wieżyczkami. Dotąd przez cały Maj, o wczesnym poranku, gdy pierwszy promień słońca padnie na szczyt téj wieży, a jéj korona złotem zapłonie, a słowik w nadwiślańskich gajach zanuci, tam, z onéj wysokiéj Maryackiéj strażnicy *hejnał* grzmi i wita jutrzenkę —słowika—słońce. Słysząc ten odgłos trąb budzących ze snu, pieśnią do Najświętszéj Panny, a oglądając jako połyskiem iskrzatym gore do słońca nad miastem dyjadem onéj wieżycy, myślisz, rozanielony takim obrazem, że ów gród odwieczny niebu swoję koronę oddaje. *Hejnały*, t. j. trąbienie na pobudkę o wschodzie słońca, upowszechniły się u nas za Królowéj Jadwigi, a od Madziarów obyczaj ten przyjęliśmy. Wyraz *hejnal*, *ejnal*, znaczy u nich *jutrzenkę*. Trębacze, którzy z wieży Maryackiéj nad bezpieczeństwem miasta od ognia czuwali, grywali tę pobudkę zwykle przez adwent, zaczynając od północy aż do świtu; przez Maj także, jako w miesiącu poświęconym N. M. Pannie, od 5 do 6 rano.

Wchodząc w wnętrze Maryackiego kościoła, przedewszystkiem uderza oko widza wielki ołtarz, arcydzieło rzeźby Wita Stwosza, z Krakowa, utwór, o którym żadne dzieło traktujące historyą sztuki, zamilczeć nie może. Wit Stwosz stał w swoim czasie na czele pierwszorzędnych mistrzów dłuta w Europie i wszyscy poczytują go za najznakomitszego rzeźbiarza, z okresu przejścia stylu ostrołuków w odrodzenie. Ołtarz więc stworzony w rękach i natchnieniem takiego męża — musi być i jest rzeczywiście pod każdym względem doskonałością—chlubą, nietylko Krakowa ale i całe kraju. Robota tego ołtarza rozpoczęła się r. 1477.

Z innych przedmiotów wnętrza kościoła Maryackiego zasługują jeszcze na uwagę: ławy radzieckie i ławnicze, — wielkie stalle w prezbyterium,—ołtarz ś. Stanisława w nawie bocznéj,—grobowce w stylu odrodzenia, rokoko i barroko, z czerwonawego i czarnego marmuru, a 7 brązowych. Szczyci się też kościół posiadaniem zwłok dwóch swoich mansyonarzy, uznanych za błogosławionych: Szymona Białogórskiego († 1615 r.) i Świętosława, z końca XV wieku. Trudno tu jeszcze pominąć piękne ciborium z marmuru, dłuta włocha, Jana Marcina Podovano, — Chrzcielnicę brązową, w kształcie kielicha, — przeszło 300 ornatów, — obrazy Stachowicza, Wenesta, Dolabelli, Ł. Orłowskiego, Smuglewicza, Hadziewicza, a przedewszystkiem znakomite Jana Suesa, których w Krakowie przechowało się 14,—trzy kolorowe okna, sięgające czasów Kazimierza W. na których wystawione są sceny z życia Chrystusa Pana i N. M. Panny, i wiele, bardzo wiele innych jeszcze rzeczy, jak np. skarbiec, dzwony, różne podania i legendy, archiprezbyterie tego kościoła i t. d.— i t. d. czego tu, choć z żalem, dla braku miejsca, nie opisuję, a co jednak wszystko znaleść można wiernie skreślone, w monografii Maryackiéj świątyni, przez nieodżałowanéj pamięci znanego naszego badacza archeologii, A. Grabowskiego, wydanéj, do któréj też ciekawego i chętnego czytelnika odsyłam.

F. G.

WSPOMNIENIE
o
SAMUELU BOGUMILE LINDEM,
ZE WZGLĘDU STULETNIÉJ ROCZNICY JEGO URODZIN.

Wiele już pisano o tym znakomitym mężu, bo też *sto* lat dopiero co przeszło o l dnia jego urodzenia, a w takim przeciągu czasu ileż to można się wynurzyć o mężu, który stał się chlubą stulecia, w mozolnym i pod pewnymi względami niewdzięcznym zawodzie literackim. Urodził się Linde d. 24 Kwietnia r. 1771 w Toruniu, w mieście które piastowało w swém łonie świetną gwiazdę, rodaka naszego, Mikołaja Kopernika.

Samuel Bogumił de Linde, syn ubogiego ślusarza, poświęcił się zrazu naukom teologicznym, wkrótce jednak przeszedł na pole filologiczne, dostawszy w trzecim roku pobytu w Lipsku posadę na lektora języka polskiego, w tamtejszym Uniwersytecie, od którego to stanowiska wymawiał się skromny młodzieniec małą znajomością języka, lecz zachęcony przez rektora poświęcił się prawie wyłącznie nauce tegoż języka, do czego stary słownik Abrahama Trotza główną mu był podstawą. Znakomite zdolności filologiczne i niesłychana wytrwałość w pracy, przyszły mu z dzielną pomocą, a zabrana znajomość ze znakomitościami polskiemi, przebywającemi podówczas czasowo w Lipsku, uzupełniły jego wykształcenie pod tym względem.

Wtedy to powziął był zamiar ułożenia *Słownika języka polskiego*. Myśl utworzenia wielkiego dzieła już go nie odstępowała i towarzyszyła mu wszędzie—tak w czasie krótkiego pobytu w Warszawie, jako też następnie przez lat blisko dziesięć w Wiedniu, przy boku znakomitego pisarza i miłośnika nauk, Józefa hr. Ossolińskiego. Dojrzała zaś zupełnie za powrotem do Warszawy, dokąd był wezwany do urządzenia nowo założyć się mającego liceum w r. 1803. Rozrywany w swych czynnościach, od głównéj przecież pracy nie odstępował, doznając opieki trzech Monarchów i pierwszych ówczesnych magnatów. We własném mieszkaniu założył drukarnię, nie zważając na szerzącą się po Europie wrzawę wojenną. Śród trzasku walących się podstaw narodów, w ciszy swojego gabinetu wypracował i wydał w r. 1807 pierwszy tom swojego Słownika, a po wydaniu drugiego, przez króla Saskiego, jako księcia warszawskiego, zaszczycony został złotym medalem z napisem: *Virtuti et ingenio*. W roku 1809, kiedy powszechny pożar wojny przeniósł się do nas, byt słownika był bardzo zagrożony, i ocalił go tylko wypuszczony na loteryą przez Ordynata hr. Zamojskiego koń arabski, którego wygrał generał Morawski i ofiarował ze swéj strony na wspomożenie funduszu wydawniczego.

Dzięki téj pomocy, wyszedł tom IV. w r. 1811, a następnie V. Tu czynności nad urządzeniem Izby Edukacyjnéj i szkół, skierowały w inną stronę działalność Lindego, a przerażający klęskami rok 1812 sprowadził zastój w wydawnictwie Słownika, aż w r. 1814, za przyczynieniem się Jana Śniadeckiego, dzięki Wincentemu hr. Tyszkiewiczowi, wyszedł tom VI i ostatni Słownika.

Tak tedy ukazał się światu utwór który wywołał podziw po-



Kościół Maryacki w Krakowie. (Str. 148).

wszechny, a dla nas stał się nieprzebraném źródłem światła i wiedzy językowéj.

Powstały wprawdzie oszczercze głosy niedowiarków, nie mogących przypuścić ażeby utwór tak ogromnych rozmiarów mógł być owocem pracy jednego człowieka, wówczas, kiedy na podobny składają się długie nieraz lata, Towarzystwa i Akademije. Puszczono w obieg pogłoskę, że Linde podczas swoich wędrówek naukowych znalazł już osnuty i w części przygotowany do druku Słownik, który potem tylko uzupełnił i pod swojém imieniem wydał; ale kto znał niesłychaną wytrwałość Lindego, przechowaną do późnéj starości, komu nie obce było wielkie jego uzdolnienie filologiczne, kto przeglądał jego niesłychanie rozgałęzione korrespondencye z pierwszymi uczonymi, tak u nas w kraju jak za granicą, gdzie wyraźne składają mu dowody swego poparcia i uznania,—kto nareszcie był świadkiem jak pod jego ożywczém tchnieniem wzrastał porównawczy Słownik języków słowiańskich, u schyłka żywota poczęty—ten ani na chwilę nie zrobi podobnego, ubliżającego mu przypuszczenia. Martwiło ono zasłużonego starca, który innéj zaiste spodziewał się wdzięczności od współczesnego jeszcze pokolenia, aż głos wymowny p. Jana Papłońskiego, poparty niezbitemi doświadczeniami, których sam autor przytaczać nawet nie chciał, lubo je posiadał, położył tamę owym niebacznym krzykaczom.

Współcześni, pojawienie się na świat Słownika, inaczéj powitali. Zewsząd bowiem posypały się okrzyki podziwu i uwielbienia, a te rozniosły się po całéj Europie, z któréj różne Towarzystwa naukowe pospieszyły ze złożeniem hołdu autorowi i z zaproszeniem go do swego grona. W Warszawie urządzano bale. Na jednym z nich generał Zajączek, Namiestnik Królestwa, ofiarował mu osobiście medal, z napisem: *Za słownik języka polskiego—Ziomkowie.*

Po wydaniu pomnikowego dzieła, które aż nadto by wystarczyło do uwiecznienia pamięci wytrwałego pracownika, nie spoczął on jednak na zdobytych laurach; wydał wiele jeszcze cennych prac naukowych, których tu wyliczać nie będziemy, ograniczając się na najznakomitszéj, która zjednała nieśmiertelne imię Lindemu, a dla nas stała się nicią przewodnią, śród pola, na którém w pocie czoła pracowało kilkanaście wieków tyle pokoleń, i na którém pleniły się także chwasty i kąkole, utrudniające drogę obcemu a chcącemu obeznać się z miejscowością przybyszowi.

Z upływem czasu język nasz wiele postąpił we wszystkich gałęziach nauk, dużo przybyło mu żywiołu rodzimego, słowem, o wiele się wzbogaciła rodzinna niwa, obok niestety napływu niefortunnych porodów niebacznych i nieumiejętnych jego uprawiaczy. Uczuł więc konieczną potrzebę odnowienia znakomitego Słownika, August Bielowski, i w r. 1854 ukazał takowy światu w nowém, powtórném wydaniu.

Samuel Bogumił Linde umarł w Warszawie dnia 8 Sierpnia 1847 r.

W dniu 24 z. m. przypadła stuletnia rocznica jego urodzin, która tak w Toruniu jak i w Warszawie obchodzoną była świetném nabożeństwem w kościele Ewangelicko-Augsburgskim, przy nader liczném zebraniu się, ceniącéj zasługi znakomitego męża, publiczności.

Aloizy Kuczyński.

OPOWIADANIE STASIA.

POWIASTKA,

przez

T. T. Jeża.

(*Dalszy ciąg*).

I ja sam rozumiałem się na gospodarstwie tyle, że straconego czasu żałowałem. Uradował więc mnie powrót ekonoma. Natychmiast o tém Jaksę uwiadomiłem i— zdziwiłem się, usłyszawszy jego odpowiedź:

— Cóż mi tam djabli do tego, że powrócił...

— Posłałeś go przecie po bęben...

— A prawda!... A przyniósł?...

— Przyniósł...

— To dobrze... Gdzie on jest?...

Zawołałem ekonoma. Za nim parobek wniósł instrument muzyczny, który miał Kopystyńskie gospodarstwo na nowe wyprowadzić tory.

Jaksa obejrzał bęben, podrzucił, w naciągniętą skórę dał parę szczutków i zadecydował:

— Kiepski... Ale cóż z tymi bałwanami poradzisz (ściągało się to do ekonoma)!.. Jam mu kazał kupić bęben żołnierski, a on kupił jakieś pudło... Hm?...

Oglądał i próbował.

Był to bęben żołnierski, tylko niemalowany. Ekonom, który niegdyś wojskowo służył, znał się trochę na tych rzeczach—przynajmniéj tyle, że nie zapomniał pałeczek.

— No!... cóż robić!...—rzekł Jaksa, po skończeniu oględzin — Trzeba się obchodzić i takim...

A zwracając się do ekonoma, dodał tonem rozkazującym:

— Jutro, przed świtem, pobudka! a w pół godziny późniéj, apel!... Do apelu niech się zejdą chłopy na podwórzu... Zrobię przegląd...

A zwracając się do mnie:

— Ty mi będziesz asystował...

— Któż będzie bębnił?!.—zawołał ekonom.

— Oczewiście: dobosz...

— Zkądże go wziąć?!..

— Mnie nic do tego... z pod ziemi go wykop... aspan od tego ekonom...

— To chyba ja sam będę bębnił...

— Bębnij sam...

— Ale ja i sam nie umiem.

— To się naucz...

— Trzeba chłopom z wieczora przez essaułów chyba nakazać, żeby się do świtu na podwórze zeszli...

— Nie trzeba!.. bęben im nakaże, bez aspańskich essaułów...

Ekonom odszedł, ramionami wzruszając.

Nazajutrz przed świtem odezwało się wściekłe pod oknami tarabanienie. W całym domu równemi ze snu pozrywaliśmy się nogami. Zerwał się i Jaksa i wbiegłszy do mego pokoju, zapytał:

— Co to jest?

— Przecież... pobudka...

— Cóż on, psiakrew, tarabani!...

Rzeczywiście, ja choć nie wojskowy, poznałem jednakże, że bębnienie odbywa się przeciwko wszelkim prawidłom sztuki.

Jaksa wpadł w gniew i począł od ostatnich łająć wyrazów.

— Czego chcesz?...—rzekłem. — Nie ma nikogo, coby umiał bębnić... Idź i zabębnij sam.

— Za kogoż ty mnie masz, panie Stanisławie!... — krzyknął Jaksa.—Nie dość, że ci służę radą, jeszcze mam służyć za dobosza!.. Piękna mi wdzięczność!...

— Ależ, mój Jakso, nie masz się czego gniewać... Jakże zaradzić?... No, nie ma nikogo... Poszedłbym bębnić sam, gdybym umiał... Ale to wszystko jedno... Chłopi nie rozumieją pobudek ani apelów... Co ma się stać, to się stanie i bez umiejętnego bębnienia...

Jaksa postał, pomilczał przez chwilkę i rzekł:

— No, niech i tak będzie... Zobaczymy, czy kto na apel przyjdzie...

Jakoż nikt nie przyszedł. Chłopi usłyszeli bębnienie—słuchali, głowami kiwali i poszli na swoje pola. Jeszcze jeden dzień żniw przepadł napróżno.

Wieczorem stanęło na tém, że essauli uwiadomią chłopów. Jaksa dawał essaułom instrukcye:

— Za pierwszém uderzeniem pałeczki, niech się każdy żniwiarz zerwie, umyje, ubierze i przygotuje sobie kosę, cep, widły, grabie, wszystko co do żniw potrzebne...

— Tylko sierp, panie...—wsunął któryś z essaułów.

— I sierp... a jakże... I niech czeka... Jak tylko drugi raz się bęben odezwie, niech natychmiast sak und pak, spieszy na plac apelu.

Ekonom przetłumaczył to essaułom na język dla nich zrozumialszy i nazajutrz o świcie całe podwórze napełniło się ludem. Zeszło się wszystko co żyło. Wraz ze żniwiarzami i żniwiarkami przyszli obojéj płci starce i dzieci, ciekawi, co też to będzie. Zeszli się i czekali. Czekali przeszło godzinę, bo Jaksa się ubierał. Wyszedł ustrojony paradnie, w buty z ostrogami i w węgierkę z potrzebami, sznurami i kutasami, które w rodzaju akselbantów pierś mu okrywały. Małą czapeczkę z podpinką i otułym daszkiem na lewe nasunął ucho. Wąsy ostro podkręcił. Wyszedł—ja obok niego—stanął przed gankiem i na cały głos tonem komendy krzyknął:

— Baczność!.. Stać!..

Chłopi się skupili.

— Cóż to!.. nie znacie porządku!.. Tak stają owce... nie ludzie!..

Tłum cofnął się wstecz, ale porządek pozostał ten sam...

— Do porządku!.. W szeregi!...

Tłum stał jak mur, niemy i milczący.

— Ekonom! hej!.. we dwa szeregi! chłopów osobno! baby osobno! dziewki osobno!..

Ekonom się zawinął. Rozpoczęło się szeregowanie, które zabrało dużo czasu, bo trzeba było każdego prawie chłopa z osobna, każdą babę i każdą dziewkę brać za rękę i stawiać i pilnować, aby miejsca nie zmieniała. Było dużo krzyku i gniewów, póki nakoniec nie stanęły trzy fronty, ustawione w kształcie trzech boków czworokąta. Mężczyzni stanowili linję najdłuższą, zwróconą frontem do frontu dworu. Kobiety zamężne stały prostopadle do téj linji na jednym jéj końcu; dziewki także prostopadle na drugim. naprzeciw kobiet zamężnych.

Jaksa, wziąwszy ze sobą mnie i kazawszy za nami postępować o kilka kroków ekonomowi, pisarzom i essaułom, rozpoczął przegląd od bab. Postępował krok za krokiem, wolno i bystro a z góry patrzał zszeregowanym w oczy. Zatrzymując się co kilka kroków, kazał pokazywać sobie sierpy, brał do ręki, oglądał i oddawał, z udzieleniem jakiejś nagannéj lub pochwalnéj uwagi. Tu znajdował że sierp nieczysty, ówdzie, że rączka za duża lub za mała, gdzieindziéj, że nie ma właściwéj formy.

— Niech-no ja się do was zabiorę, to będziecie wiedzieli, co to forma!...

A nie pozwolił sobie odpowiadać. Wołał, że to zuchwalstwo, gniewał się, krzyczał, groził i kazał ekonomowi, tych co odpowiadali, zapisać i potém ich sobie przy raporcie przedstawić.

Dziś, kiedy nad tém wszystkiém rozpamiętuję, nie tyle dziwię się Jaksie, który ten przegląd robił, ile sobie samemu, żem mu na to pozwolił. Wówczas jednakże, wydawało mi się to użytecznem i wcale potrzebném. Co do słowa, takiém było moje pod tym względem zdanie: możnaby się bez tego wszystkiego obejść, ale z tém, i owszem.

(d. c. n).

WIĄZANKA.

Maj! Wiosna! Cóż to za czarowne wyrazy... Na samo ich wspomnienie serce drży, twarz się rumieni, oko błyszczy ogniem brylantów, lub śmieje się pogodą błękitnego nieba, usta składają się do podziwu, do zachwytu, do pocałunku, czoło promienieje gwiazdami najpiękniejszych wspomnień, najmilszych uczuć, duch zrywa się do lotu, myśl dziw głowy nie rozsadzi. Maj—Wiosna!... Skowronki przyśpiewują rolnikowi w polu, pastuszki grają na wierzbowych fujarkach, bydełko ryczy, konie rżą, bociany klekoczą, żaby rechczą, łzy kwitną śnieżnym kwiatem, słowiki dają bezpłatne koncerty w ogrodach—grzmiąc trélami w niebogłosy i kaskadą jakichś kryształowych, złotych tonów, budząc z uśpienia i odrętwienia wszystkie róże i różyczki. Cała natura odżywia się—stroi się niby narzeczona w dzień slubu. O Maju i o Wiośnie tyle już napisano, od czasu wynalezienia pisma, tyle już napoetyzowano,—że poprzestając na tych kilku słowach, które nam się mimowolnie wydarły z pod pióra, czy z pod serca, w miejsce wierszy, hymnów i tym podobnych komplementów, palonych zazwyczaj do téj milutkiéj, zachwycającéj pory roku, powiemy raczéj krótko a węzłowato:— Co tam... kto chce poznać Wiosnę, niech jéj spojrzy w oczy — niech się wybierze na majówkę, w góry, w lasy, w pola, pomiędzy szmaragdowe trawniki i gałązki— i niech gra z kimsiś... w zielone, a zaręczam mu własną moją głową, że tego nie pożałuje.

Było to po południu. Na Lesznie spotkałem kondukt pogrzebowy. Spotkać coś podobnego w Warszawie nie jest żadną nadzwyczajnością. Widzę je codzień, widzę je nawet kilka razy dziennie, a przecież o nich nie piszę. I około tego więc byłbym przeszedł jak około innych, lecz pewna okoliczność zatrzymała mnie przy nim. Karawan szedł próżny — trumnę niesiono na barkach. Pomyślałem sobie: pewnie przyjaciele oddają ostatnią posługę jakiemuś człowiekowi pracy, wytrwałości i poświęcenia, cichéj, skromnéj ofiary, jakiemuś czcigodnemu ojcu, obywatelowi, zacnemu urzędnikowi lub rzemieślnikowi—i przyłączyłem się do żałobnego grona. Kondukt postępował na Powązki, przy trumnie zmieniano się i dźwigano ją jakby najdroższy ciężar...

— Czyj to pogrzeb? zapytałem kogoś z tłumu.

— To nieboszczyka NN.

— Cóż to za jeden?

— At—przyznam się—ten... tego — bardzo był miły człowiek, tylko że poderżnął sobie gardło—i...

— To samobójca!

— To jest, nie... tak sobie...

— I za cóż mu panowie taką cześć oddajecie? Czy dla tego że żyć nie umiał, że nie chciał żyć, że się rozmyślnie i dobrowolnie zarżnął? Ale w takim razie jakaż będzie różnica pomiędzy uczczeniem zwłok człowieka, który rzeczywiście zasługuje na to, aby go nieść na barkach na miejsce wiecznego spoczynku?... Żegnam pana.

Uroczystość stuletniéj rocznicy urodzin autora *Słownika języka Polskiego*, S. B. Lindego, odbyta w dnin 24 z. m. uwieńczoną została zbiorową składką na stypendium dla jednego z niezamożnych studentów Warszawskiego Uniwersytetu. Z pewnością, że podobna pamięć, podobne uczczenie zasług naszych uczonych znakomitości, jest i najodpowiedniejsze i najpiękniejsze. Zgoda na owacye, zgoda na wieńce, obiady, mowy a choćby nawet i srebrne... pomniki—ale niechżeż te wieńce kwitną a nie więdną, niechże płynie z nich różana woń oświaty, niech z laurów zdobiących skronie wybrańców rodzą się nowi ludzie, nowe znakomitości, nowe słońca i gwiazdy nasze,—bo—pamiętajmy—przez czyny tylko idzie się do nieśmiertelności a przez naukę do chwały!

Czytelnicy nasi ciekawi są może co się stało z funduszem zebranym na stypendium imienia Józefa Keniga. Odpowiedzieć na to możemy z urzędowego sprawozdania *Redakcyi Tygodnika Illustrowanego:* Na obiedzie wydanym d. 18 Marca r. b. złożono rs. 292 k. 15. Do tego przybyło: od pp. Ludwika Lesznowskiego rs. 150, Wilhelma Hordliczki rs. 157 k. 85, Jana Epsteina rs. 50. Za pośrednictwem redakcyi Kuryera Codziennego rs. 30, za pośrednictwem redakcyi Kuryera Warszawskiego rs. 17—razem, rs. 697. Za summę tę, zgodnie z życzeniem głównych ofiarodawców, kupiono listów zastawnych, 5-o procentowych, Warszawskiego Towarzystwa Kredytowego miejskiego, jako fundusz wieczysty, imienia Józefa Keniga, procent zaś od nich, w kwocie rs. 40, ma być corocznie obracany na wpis i książki dla ubogiego ucznia jednego z gimnazjów warszawskich, stosownie do wyboru trzech osób w tym celu delegowanych, a mianowicie: Józefa Keniga, Wilhelma Hordliczki i Józefa Ungra. Dla uzyskania zatwierdzenia tego stypendium przez władze edukacyjną, zostały już poczynione odpowiednie kroki. Fundusz zaś uzbierać się mający ze sprzedaży projektowanéj *książki zbiorowéj*, któréj druku podjął się bezpłatnie p. Unger, postanowiono obrócić na zaspokojenie potrzeb bieżących niezamożnych studentów uniwersytetu Warszawskiego. Dla tego też Redakcya *Tygodnika Illustrowanego* uprasza uprzejmie osoby, które pracami swemi przyczynić się zechcą do dzieła dobroczynnego, aby odpowiednie artykuły, przeznaczone do rzeczonéj książki zbiorowéj, przesłać raczyły *najpóźniéj* do dnia 15 Czerwca r. b. do kantoru drukarni Józefa Ungra w Warszawie, ulica Nowolipki, Nr. 2406.

Przed paru dniami, spotkawszy się z jednym ze swoich znajomych, zapytałem go czy dawno był w *teatrze?*

— Już bardzo dawno, odpowiedział.

— Ale musiałeś być na nowéj u nas jednoaktowéj komedyi Augiera, p. t. *Postscriptum?*

— Nie byłem.

— No, nie masz wprawdzie czego żałować, bo komedya kapitalnie nudna, ale dla czego nie byłeś, ty—taki amator?..

— Nie mógłem dostać biletu.

— Jakto, kiedy kilka miejsc było jeszcze nie zajętych..

— Ha, od pewnego czasu nie mam widać szczęścia przy kasie teatralnéj— a przyznam ci się, że nie posiadam znów ochoty przepłacać bilety w trójnasób.

— Jakto przepłacać, kiedy cena jest stała?

— Tak, stała... na papierze; ale niech-no grają coś nowego, lub coś znakomitego, jak Hamleta, Romea i Julję, idź — chciéj kupić — a przekonasz się..

— No, no... ha!... *Ex re* teatru, muszę ci powiedzieć, że we Lwowie przedstawiano niedawno 4-ro-aktową komedyą hr. Koziebrodzkiego p. t. *Hrabia Maryan.* Może ją więc ujrzymy i na naszéj scenie.

— Już mnie to mało obchodzi, bo jestem pewny że nie będę jéj widział...

— Cóż znowu!.. Ale, ale, Rapacki wyjechał, a niedługo toż samo zrobią: Królikowski i Modrzejewska.

— Wiem, na *ferye.*

— Naturalnie że nie nazawsze, tak jak panna Kwiecińska. Szkoda jéj.

— Wielka szkoda.

W obec *koncertów* króla melodyi—słowika, milkną potrochu *koncerty* salonowych wirtuozów i niewirtuozów. Z ostatnich tygodni mamy z nich do zanotowania tylko: koncert pożegnalny panny M. Kwiecińskiéj,—koncert p. Pistora harfisty, — koncert na pozostałą wdowę z dziećmi po ś. p. Janie Hornzielu, szefie orkiestry teatru W. — i koncert panny Zofji Siegenfeld, w sali Resursy Obywatelskiéj.

Z *titeratury* bieżącéj zasługują na uwagę następujące fakta:

Wł. Tarnowski wydaje bardzo ciekawe: *Archiwum wróblewieckie.*

Pismo prowincyonalne *Kaliszanin*, redagowane obecnie starannie i z całą znajomością swego zadania, tudzież ze znajomością istotnych potrzeb całéj okolicy Kaliskiéj, drukuje w swych szpaltach niezmiernie ważną pracę p. Cezarego Biernackiego p. t. *Synody Kaliskie, Rzymsko-Katolickie, w dawnéj prowincyi Gnieźnieńskiéj.* Będzie to piękny nabytek do historyi naszego kościoła.

Wyszły z pod prasy ostatnie dwa zeszyty (IV i V) *Poglądu na dzieje ludzkie*, przez Wiktora Dłużniewskiego.

Dziennik *Sankt. Petersb. Wied.* zamieszcza następujące wiadomości o piśmiennictwie peryodyczném w Rosyi. W roku 1870 istniało w Rosyi, z wyłączeniem Finlandyi i Kaukazu, 412 wydawnictw peryodycznych. W liczbie téj było: rosyjskich 327, polskich 31, niemieckich 33, francuzkich 7, estońskich 5, łotyskich 4, hebrajskich 3, fińskich 1, łacińskich 1. Czasopisma te wychodzą w 83 miastach, przyczem największa ich liczba przypada na miasta następujące: na Petersburg 131, na Moskwę 39, na Warszawę 33, na Odessę 16, na Rygę 14, na Kijów 13, na Dorpat 12, na Woroneż 7, na Kazań 6 i na Wilno 6. We wszystkich pozostałych miastach liczba wychodzących czasopismów wynosi od 1 do 4. Liczba pism nie podlegających uprzedniéj cenzurze wynosi 116.

Pan Karol Studziński, tutejszy artysta i nauczyciel muzyki, rozpoczął wydawnictwo, mające na celu naukę śpiewu chóralnego p. t. *Wprawy rytmiczne na podstawie gammy C.*

Z okoliczności przypadającéj w roku przyszłym rocznicy urodzin Kopernika, powzięto we Lwowie myśl, ulicę S. Łazarza nazwać ulicą Kopernika.

Setna rocznica urodzin Beethowena, która nie mogła być obchodzoną w wielu miastach Niemiec 8 Grudnia r. z. z powodu wojny, obchodzoną będzie w Bonn, mieście rodzinném mistrza, w miesiącu Sierpniu r. b. z niesłychaną okazałością.



Cymbalista. (Typ miejski).

W Belgradzie (Białogrodzie) wychodzi od 1 Kwietnia r. b. gazeta *Jugosławianskaja Zwiezda*, we wszystkich sławiańskich językach.

Wojc. Jastrzębowski zasłużony prof. b. Marymontu, wydał: *Klucz do układu przyrodzonego roślin rosnących między Karpatami i Bałtykiem.*

Towarz. Roln. powiatów: poznańskiego i szamotulskiego, ogłasza konkurs na dzieło polskie, o teoryi rolnictwa, przystępne, 6—10 ark. druku. Premium 50 tal. Rękopism pozostaje własnością autora. Termin 31-go Grudnia 1871 r. Adres: N. Urbanowski w Poznaniu, ulica Berlińska, N. 11.

Nakładem G. Senewalda wyszła z druku *Praktyczna szkoła śpiewu* p. N. Vaccai, tłumaczona przez L. Matuszyńskiego.

W Rosyi zajmują się wzniesieniem składkowego pomnika dla Puszkina.

Zmarł sławny imam Kaukazki, *Szamyl*, przebywający za pozwoleniem rządu rossyjskiego w Arabii, w m. Medynie, w wieku lat 74.

Na zakończenie nie od rzeczy będzie zapisać tu czyn... nie wiem jak go nazwać... Nazwijcie go, mili czytelnicy, po imieniu, sami. Przed dwoma tygodniami posłaniec publiczny znalazł 5,000 rs. Zwrócił je właścicielowi — i wiecie co za to dostał?... — 60 kopiejek!

Δ

Księgarz i Nakładca J. Kaufmann, ma zamiar wydawać: *Bibliotekę powieści i romansów* tłumaczonych.

Wydawca, Mieczyński Adam. — Дозволено Цензурою. 23 Апрѣля (5 Мая) 1871 г. — Redaktor, Franciszek Gumowski.

w Drukarni S. Orgelbranda, Ulica Bednarska Nr. 369 lit. *h*.